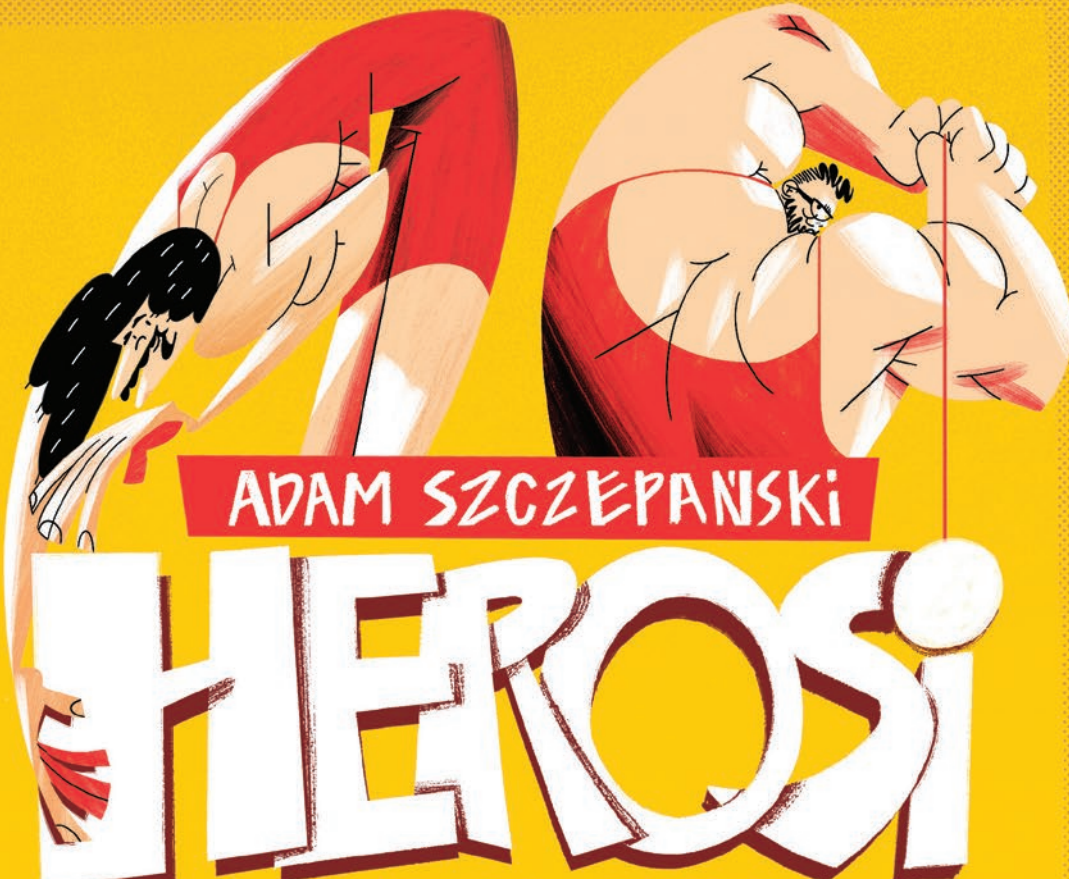




ADAM SZCZEPANSKI

HEROSI

20 HISTORIÍ O POLSKICH
OLIMPIJCZYKACH

ILUSTRACJE

MATTEO CIOMPALINI



Herosi. 20 historii o polskich olimpijczykach

Copyright © by Adam Szczepański

Źródła zdjęć:

s. 11: zdjęcie z domeny publicznej – Konopacka (NAC); s. 23: zdjęcie z domeny publicznej – Kusociński (NAC); s. 33: ASSOCIATED PRESS/East News; s. 41: AP/East News; s. 51: Mieczysław Świdorski/REPORTER; s. 59: Szewińska (J. Szewiński/Wikimedia Commons, pierwotnie w: „Lekka Atletyka” nr 12 (104), December 1964); s. 67: Komar (PAP/Wikimedia Commons); s. 77: Eugeniusz Warmiński/East News; s. 87: ASSOCIATED PRESS/East News; s. 95: Wojciech Szabelski/PAP; s. 103: Thomas Kienzle/ASSOCIATED PRESS/East News; s. 111: AFP/EAST NEWS; s. 121: Adam Hawałej/PAP; s. 131: Piotr BŁAWICKI/East News; s. 139: Imago Sport/East News; s. 147: Imago Sport/East News; s. 155: Michał SZALAST/East News; s. 165: Michał Kość/REPORTER; s. 173: AP/East News; s. 181: imago/Chai v.d. Laage/EAST NEWS

Projekt okładki i ilustracje

Matteo Ciompallini

Redaktor inicjujący

Rafał Czech

Redakcja

Aleksandra Smoleń

Opieka redakcyjna

Anna Steć, Paulina Tracz, Judyta Wałęga

Adiustacja

Aurelia Hołubowska

Korekta

Katarzyna Onderka, Magdalena Wołoszyn | Obłądnie Bezbłędnie

Makieta i łamanie

Grzegorz Kalisiak | Pracownia Liternictwa i Grafiki

ISBN: 978-83-240-5207-3

Przeczytaj, co o książce sądzą inni czytelnicy, i oceń ją na lubimyczytac.pl

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2020

Druk i oprawa: Perfekt

ADAM SZCZEPANSKI

HEROSi

20 HISTORIÍ O POLSKICH
OLIMPIJCZYKACH

ILUSTRACJE

MATTEO CIOMPAŁINI

znak emotikon

Kraków 2020



Finał olimpijskiego konkursu skoku w dal kobiet. Na rozbiegu staje młodzianka, 17-letnia Polka. Od razu zwraca uwagę kibiców swoim długim warkoczem. Rozpędza się, odbija od belki i wykonuje fantastyczny, daleki skok, który może zapewnić jej miejsce na podium. Radość kibiców jednak szybko mija, ponieważ wokół skoczni zrobiło się duże zamieszanie. Podchodzą kolejni sędziowie, ktoś macha rękami i woła innych, jakby potrzebował pomocy. Tłumek gęstnieje. Co się dzieje? W dodatku wszyscy ci ludzie zaczynają się nagle przyglądać z bardzo bliska... piaskowi, na który przed chwilą skoczyła Elżbieta Krześcińska. A tam, poza dużym śladem w miejscu, w którym wylądowała nasza zawodniczka – rzeczywiście, widać też niewielki, podłużny ślad. Sporo bliżej belki, czyli miejsca, w którym następuje odbicie. Okazuje się, że skacząc, Ela miała odchyłoną do tyłu głowę i zanim sama wylądowała, jej warkocz pierwszy dotknął piasku, zostawiając kilkucentymetrową smugę. Była to niespotykana sytuacja i sędziowie początkowo nie wiedzieli, co zrobić. Zasady mówią jasno, że długość skoku mierzy się do najbliższego śladu na piasku pozostawionego przez ciało zawodnika.

Ale czy to dotyczy też włosów? Zawody wstrzymano i rozgorzały gorące dyskusje, jak należy to potraktować. Ostateczny werdykt niestety nie był pomyślny dla Polki. Ten skok dałby jej drugie miejsce w konkursie, ale uznano, że skoro warkocz wyrasta z głowy, to jest częścią ciała. Dlatego policzono odległość tylko do miejsca, w którym włosy dotknęły piasku. To chyba jedyny taki przypadek w historii, żeby warkocz przesądził o wyniku. W rezultacie nasza zawodniczka zakończyła igrzyska w Helsinkach na odległej, 12 pozycji.

Ela wróciła bez medalu, a niemal cała Polska rozmawiała o jej fryzurze. Większość radziła, żeby ścieła warkocz, który – można powiedzieć – odebrał jej olimpijski medal. Nie wiem, jak wy, ale ja ze złości po takich zawodach pewnie od razu wziąłbym nożyczki do ręki. Ona jednak nie zamierzała tego robić. Warkocz jej nie przeszkadzał, a to była po prostu pechowa sytuacja. Poza tym to był przecież jej znak rozpoznawczy – była dziewczyną z warkoczem. Nie ścieła go.





Gdy patrzy się z boku, wygląda to bardzo dziwnie. Bo dla czego grupa dorosłych facetów robi sobie wyścig, w którym poruszają się, naśladując... kaczki? Kołyszą tyłkiem, machając przy tym rytmicznie zgiętymi rękami. Ścigają się, ale nie biegną. Powiedzmy sobie szczerze – nie wygląda to zbyt poważnie, jeśli się nie wie, o co chodzi. A właśnie o chodzenie tutaj chodzi! To nie żadne wygłupy, tylko poważna dyscyplina olimpijska – chód sportowy. Wyścig w chodzeniu, w którym kluczowe jest to, żeby nie biec, dlatego zawsze jedna stopa musi dotykać ziemi, a żeby iść szybko, trzeba machać biodrami, przez co wygląda to bardzo śmiesznie.

Chód nie jest popularną dyscypliną, ale były czasy, kiedy na kolejnych igrzyskach te wyścigi były punktem obowiązkowym dla polskich kibiców. No, może nie aż tak, żeby oglądać cały wyścig, w którym przez prawie cztery godziny chodziarze maszerują ulicami miasta – to rozrywka tylko dla prawdziwych zapaleńców. Ale trzeba było chociaż podglądać jego przebieg i koniecznie zobaczyć finisz. Bo kto nie chciałby zobaczyć, jak Polak zdobywa

złoto? A wszystko przez Roberta Korzeniowskiego. Prawdopodobnie najlepszego chodziarza wszech czasów. To on sprawił, że miliony Polaków z zapartym tchem śledziły te dziwne wyścigi. Zanim jednak stał się prawdziwą maszyną do wygrywania, musiał pokonać wiele przeszkód. Początki nie były łatwe.

Robert na swoją pierwszą olimpiadę pojechał do Barcelony. Łatwo sobie wyobrazić, jak się stresował – pierwszy raz na tak ważnych zawodach! Najpierw startował w wyścigu na 20 kilometrów i go nie ukończył, nie dał rady. Ale tym jeszcze się nie przejął. Przede wszystkim przygotowywał się na dłuższy dystans, dlatego ten krótszy traktował bardziej jako rozgrzewkę przed najważniejszym dla siebie wyścigiem. Zastanawiacie się, jak to możliwe, że nie podołał krótszemu wyścigowi, a chciał wygrać dłuższy? To normalne – do różnych dystansów stosuje się różne techniki. W krótszym od początku tempo jest szybsze, a na dłuższym ważniejsze są odpowiednie rozłożenie sił na całą trasę i wytrzymałość. W każdym razie przed konkursem na 50 kilometrów Robert był pewny siebie. I rzeczywiście – wyglądało na to, że idzie prosto po medal. Już widział przed sobą stadion, na którym znajdowała się meta. Na ostatnich metrach zajmował drugie miejsce i wydawało się niemal pewne, że znajdzie się na podium! I wtedy stało się coś, co wszystkich zszokowało. Zawodnicy wyszli z tunelu na bieżnię stadionu, ale... nie było wśród nich Roberta. Co się stało? Gdzie on się podział? Okazało się, że został zdyskwalifikowany. Na

samym finiszu wyścigu musiał zejść z trasy. To był chyba najgorszy moment w jego karierze, i to na pierwszej olimpiadzie!

Podczas wyścigu sędziowie uważnie obserwują, czy chodździarze idą zgodnie z zasadami. Za podbiegnięcie albo nieprawidłowy krok można otrzymać ostrzeżenie. Trzy ostrzeżenia oznaczają wykluczenie. Problem jednak w tym, że dużo zależy od interpretacji konkretnego sędziego i wiele ocen budzi wątpliwości. Różnica jest czasami trudna do uchwycenia: czy to jeszcze bardzo szybki chód, czy już bieg? Wykluczenie Roberta również wzbudziło kontrowersje. On sam nie uważał, że popełnił błąd, dlatego tym bardziej był przybity całą sytuacją. Czuł się poszkodowany. Miał żal do sędziów. Tyle wysiłku na nic. Nie tylko tego podczas samego wyścigu, ale też tego, który włożył w wielomiesięczne przygotowania!

Medal był niemal na wyciągnięcie ręki, a skończyło się na tym, że Robert opuszczał Barcelonę jako ogromny pechowiec, z poczuciem dotkliwej porażki. Ta lekcja pomogła mu jednak później stać się lepszym, a nawet wybitnym sportowcem. Jest takie powiedzenie – co cię nie zabije, to cię wzmocni. Tak właśnie było w przypadku Roberta. Porażka w pierwszej chwili go załamała, ale mimo goryczy czuł, że jest na właściwej drodze. Był przecież młodym zawodnikiem, to był dopiero jego olimpijski debiut, a on omal nie wszedł na podium. Przez większość

wyścigu był jednym z najlepszych. Cały czas to sobie powtarzał, kiedy pracował nad poprawą techniki. Chciał chodzić tak, żeby już nikt nie mógł się przyczepić do jego kroku, żeby nie dawać pretekstu sędziom i nie tracić kolejnych wyścigów przez dyskwalifikacje. Bo zdarzyło mu się to nie tylko w Barcelonie.

Cztery lata później w Atlancie zdobył złoty medal i w ten sposób rozpoczęła się jego złota era. Najwspanialsze w jego wykonaniu były wyścigi na kolejnych igrzyskach – w Sydney w 2000 roku. Tam aż dwa razy stawał na najwyższym stopniu podium! Jeszcze przed wyjazdem postanowił sobie, że zdobędzie medal także na dystansie 20 kilometrów. Finisz tego wyścigu był bardzo dramatyczny.

Gdy zawodnicy zbliżali się już do mety, Robert był na prowadzeniu, jednak w samej końcówce wyprzedził go Meksykanin. W Polaku krew się zagotowała, bo doskonale widział, że rywal pomógł sobie przeskokiem, co oczywiście było zabronione. Jeszcze bardziej rozzłościło go, że nikt z sędziów nie zareagował! Na szczęście nie dał się zdecentrować i dalej robił swoje. Doszedł do mety jako drugi. Nie był jednak w stanie w pełni cieszyć się tym srebrnym medalem. Niestety, nie mógł nic zrobić. Emocje zaczynały powoli opadać, Robert udzielał już pierwszych wywiadów jako srebrny medalista, gdy nagle ktoś krzyknął mu o dyskwalifikacji Meksykanina. Będzie zmiana na podium!



Czy jeden plus jeden może równać się więcej niż dwa? Na lekcji matematyki nawet nie próbujcie o tym myśleć, ale w sporcie? W sportach zespołowych czasami mówi się, że drużyna jest lepsza niż suma talentów poszczególnych graczy. Chodzi o to, że zawodnicy mogą indywidualnie nie być wybitni, ale kiedy grają razem, tworzą bardzo silny zespół i nagle wydają się dużo lepsi. Kluczowe są współpraca, zgranie, rozumienie się i uzupełnianie. Dzięki temu wspólnymi siłami można osiągnąć więcej i wtedy – jeśli mówimy o dwuosobowych zespołach – jeden plus jeden może dawać lepsze wyniki niż „dwa”.

Tomasz Kucharski nie odnosił znaczących sukcesów w wioślarstwie, został też pominięty przez trenera przy ustalaniu składu kadry na olimpiadę w Atlancie. Liczył, że zostanie wybrany do czwórki bez sternika, dlatego mocno go to zabolowało. Był załamany i zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie skończyć z wiosłowaniem. Na szczęście tego nie zrobił, bo już rok później jego kariera gwałtownie przyspieszyła. Wszystko za sprawą

zupełnego przypadku: pewnego letniego dnia znalazł się na tym samym torze co Robert Sycz, który akurat potrzebował partnera do treningu. Sycz miał już na koncie większe sukcesy, w tym debiut olimpijski. W Atlancie zajął siódme miejsce, płynąc w dwójce podwójnej wagi lekkiej. Teraz szykował się do występu na mistrzostwach świata, ale jego partner wyjechał na ślub kolegi, dlatego szukał chwilowego zastępstwa. Poprosił o pomoc Tomka, który właśnie skończył swój trening w jednoosobowej łódce. Popłynęli razem i w zaskakująco szybkim tempie pokonali dystans dwóch tysięcy metrów. Osiągnęli dużo lepszy wynik niż te, jakie Robert uzyskiwał z partnerem, z którym miał jechać na mistrzostwa. Ale może tylko fuksem tak im się to udało? „Ło! to było świetne! Musimy spróbować jeszcze raz”, powiedział Robert i nie pytając nawet o zdanie nowego kolegi, wyskoczył z łódki i pobiegł po trenera. On koniecznie musiał to zobaczyć. Popłynęli drugi raz i ponownie poszło im rewelacyjnie.

Okazało się, że idealnie do siebie pasują. Tomek może nie był lepszym wioślarzem niż inni, z którymi wcześniej współpracował Robert, ale z nikim innym tak dobrze mu się nie pływało. Wreszcie znalazł wymarzonego partnera. Na wodzie świetnie się rozumieli. Choć charaktery mieli zupełnie inne. Tomek był spokojny. Czasami aż nadto i wtedy Robert krzyczał na swojego kolegę, żeby zmotywować go do jeszcze większego wysiłku. On był liderem tego duetu.

Na mistrzostwach świata w 1997 roku Sycz i Kucharski po raz pierwszy zaprezentowali, jak silną tworzą osadę, bo tak nazywa się zespół wioślarski. Pojechali na nie ledwie po kilku tygodniach wspólnych treningów i wygrali rywalizację w swojej kategorii. Rok później powtórzyli ten sukces, zdobywając następne złoto, i coraz głośniej zaczęło się mówić o nich jako o poważnych kandydatach do olimpijskiego podium. Kwalifikację olimpijską mogli zapewnić sobie na kolejnych mistrzostwach świata, ale po dwóch wcześniejszych zwycięstwach w 1999 roku już nie obronili tytułu. Samo to było sporą niespodzianką i rozczarowaniem. A było przecież jeszcze gorzej. Tamte zawody zakończyły się dla nich klęską, ponieważ popłynęli fatalnie i byli ostatni.



Jednym z powodów tak kiepskiego występu była poprzedzająca go walka o zmieszczenie się w limicie wagowym. W tym względzie w wioślarstwie zasady są nieubłagane. W dwójce wagi lekkiej obaj zawodnicy nie mogą przekroczyć łącznie 140 kilogramów, a żaden z nich nie może ważyć więcej niż 72,5 kilograma. Jeśli przekroczy się ten limit, załoga nie zostaje dopuszczona do startu. Dlatego wioślarze cały czas muszą pilnować swojej wagi i trzymać się ścisłej diety. W tym zakresie także potrzebna jest współpraca, bo muszą dbać o to razem. Jeśli natomiast u któregoś pojawi się nadwaga i trzeba ją szybko zrzucić przed zawodami, może przełożyć się to na utratę sił i spadek formy. W przypadku Roberta i Tomka skończyło się to katastrofą na mistrzostwach świata, przez co ich wyjazd do Sydney stanął pod dużym znakiem zapytania. Na szczęście wzięli jeszcze udział w zawodach ostatniej szansy i na dwa miesiące przed igrzyskami wywalczyli kwalifikację.



W Australii obyło się już bez problemów i niespodzianek. Polacy potwierdzili swoją klasę. Świetnie spisywali się w drodze do finału, a w tym najważniejszym wyścigu nie pozostawili nikomu złudzeń co do tego, która załoga jest najlepsza. Płynęli znakomicie od samego startu. W połowie dystansu jeszcze przyspieszyli i zaczęli powiększać swoją przewagę. Minęli linię mety, wyprzedzając drugą ekipę, z Włoch, prawie o długość łodzi, i zostali mistrzami olimpijskimi.

Cztery lata później w Atenach przed finałem nie czuli się aż tak pewnie, dlatego postanowili zaryzykować i postawić wszystko na jedną kartę. Albo zdobędą złoto, albo padną po drodze, walcząc o zwycięstwo. Plan polegał na tym, żeby od pierwszych metrów narzucić bardzo szybkie tempo, wiosłować z całych sił, na maksymalnych obrotach i uciekać rywalom. Wiedzieli, że przy takiej taktyce końcówka wyścigu będzie dla nich niezwykle trudna, bo będzie im już brakowało sił. Wierzyli jednak, że wypracowana wcześniej przewaga wystarczy. I tak też zrobili. Od startu znajdowali się na prowadzeniu, a po chwili tak wyrwali do przodu, że w połowie dystansu mieli niesamowitą przewagę półtorej długości łodzi nad drugą osadą. Kiedy do mety pozostawało ostatnie 500 metrów, nadal byli daleko z przodu. O prawie cztery sekundy wyprzedzali goniących ich Francuzów. Teraz trzeba było tylko prze-trwać finisz. Łatwo powiedzieć. Trudniej zrobić, gdy po tak ogromnym wysiłku słabnie się w końcówce. Francuzi

złoty duet

tymczasem ruszyli do ataku i niebezpiecznie się przybliżali. Robert krzyczał do Tomka: „Dawaj, dawaj! Wytrzymamy to. Złoto jest nasze!”. Co z tego, że brakowało im już sił. Odpoczną sobie, mając medale na szyjach. Czekali na ten wyścig cztery lata i wiedzieli, że muszą sięgnąć do najgłębszych pokładów energii. Muszą wykonać jeszcze tych kilka mocnych pociągnięć wiosłami i zaraz będzie po wszystkim. Francuzi jednak walczyli. Przybliżyli się na pół łodzi. Zrobiło się nieco nerwowo, ale Polacy nie pozwolili się dogonić. Wytrzymali, a tuż po minięciu mety padli z wyczerpania. Nawet później ledwo mieli siły, żeby wejść na podium. Ale opłacało się, bo weszli na najwyższy stopień. Ponownie sięgnęli po złoto.

ROBERT SYCZ I TOMASZ KUCHARSKI
UR. 15.11.1973 UR. 16.02.1974

Igrzyska olimpijskie
Sydney 2000 - złoto
Ateny 2004 - złoto

2-krotni mistrzowie
i 3-krotni wicemistrzowie świata



W sporcie potrzebne jest szczęście, bo gdy go zabraknie, można mieć takiego pecha jak Maja Włoszczowska tuż przed olimpiadą w Londynie w 2012 roku.

Do wielkiego otwarcia igrzysk pozostawało już tylko kilka dni, a za trzy tygodnie miał odbyć się wyścig kolarstwa górskiego, w którym Maja należałaby do grona faworytek. Poprzednio w Pekinie sięgnęła po swój pierwszy olimpijski medal, zajmując drugie miejsce, co było początkiem pasma sukcesów. W następnych latach została mistrzynią Europy i wygrała mistrzostwa świata, dlatego też w Londynie miała celować w upragnione złoto. To miały być jej igrzyska.

Właśnie trwała ostatnia faza przygotowań podczas zgrupowania kadry we Włoszech. To miał być tylko kolejny dzień treningów. Kolejne przejechane kilometry trasą, którą jeździli już wcześniej i którą świetnie znali. Akurat ćwiczili zjazdy, kiedy na jednym z zakrętów Maja straciła równowagę. To też nie było jeszcze niczym niezwykłym.

Zdarza się. Musiała się podeprzeć, żeby się nie przewrócić. Niestety, bardzo niefortunnie postawiła stopę, która mocno się przekreśliła i wygięła. Ała! Zabolało. I to okropnie mocno. To nie był zwykły ból. Upadła na ziemię, a gdy spojrzała na swoją stopę... Tylko nie to! Nie potrzebowała badań lekarskich, żeby od razu wiedzieć, że jest źle. Bardzo źle, bo stopa była nienaturalnie wykręcona.

Kiedy pojawiła się informacja, że Maja doznała kontuzji i została przewieziona do szpitala, od razu wszyscy zaczęli zastanawiać się, co z igrzyskami. Czy zdąży? Zostało jeszcze kilkanaście dni, może wystarczy, żeby się podleczyła? Może to będzie kolejna historia o tym, że zawodniczka przezwyciężyła problemy zdrowotne i sięgnęła po medal? Niestety, nie w tym przypadku. Kontuzja okazała się zbyt poważna, a czasu było zdecydowanie za mało. Maja od początku nie miała złudzeń, co to dla niej oznacza. Badania tylko to potwierdziły. Doznała złamania dwóch kości stopy, uszkodzenia więzadeł i ciężkiego zwicnięcia stawu skokowego. Musiała zapomnieć o wyjeździe do Londynu.

To był dla niej ogromny cios. Cztery lata czekała na ten występ i niemal w ostatniej chwili straciła szansę na występ, do którego tak długo się przygotowywała. Włożyła w to mnóstwo wysiłku. Ale to nie była tylko jej tragedia, bo przecież razem z nią pracował cały sztab ludzi. Trener, manager, fizjoterapeuta, serwisant zajmujący się rowerem i jeszcze kilka innych osób. Oni wszyscy wspólnie dążyli



do tego, żeby Maja mogła w Londynie zawalczyć o medal, najlepiej o złoto. W ułamku sekundy ich marzenia prysły.

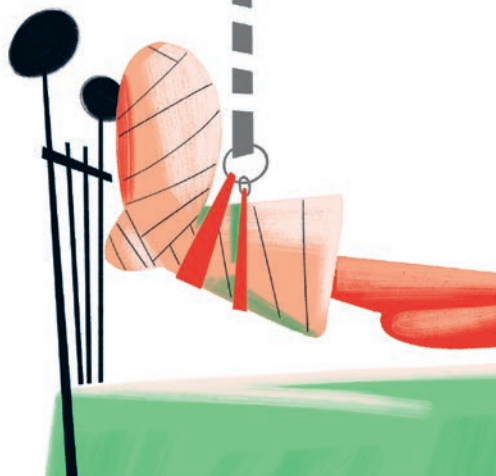
Maja oczywiście była wściekła, ale w takich chwilach pomaga charakter sportowca, bo czekająca ją długa rehabilitacja była trochę jak wyścig, w którym trzeba pokonywać przeszkody, osiągać kolejne cele i walczyć ze swoim ciałem. W sumie rehabilitacja trwała aż dziewięć miesięcy, a dla sportsmenki był to niezwykle trudny okres. Wykonywała żmudne ćwiczenia, wymagające mnóstwa cierpliwości, bo postępy nie były od razu widoczne, a pojawiały się też różne drobne urazy, które spowalniały cały proces. Były chwile zwątpienia i frustracji. Potrzebowała dużo samozaparcia i wytrwałości. A to, co w tym wszystkim było chyba najgorsze dla Mai, to to, że przez długi czas nie mogła wsiąść na rower. Nie mogła robić tego, co tak bardzo kocha i bez czego nie potrafi żyć.

i pechowa kontuzja

W końcu wyleczyła się i wróciła do wyścigów. Zaczęła także powoli myśleć o olimpiadzie w Rio de Janeiro.

Na olimpiadzie kolarki górskie startują w konkurencji cross country. Ścigają się na specjalnie przygotowanej trasie, na której jest dużo podjazdów i zjazdów, a także różnego rodzaju przeszkód, takich jak kamienie, korzenie czy błoto. Trasa w Rio miała niecałe 5 kilometrów długości i trzeba było przejechać sześć takich okrążeń. Na rok przed igrzyskami zawodniczki mogły wykonać tak zwany rekonesans trasy, czyli pokonać ją i się jej przyjrzeć. Maja i jej sztab nagrali cały przejazd, a potem razem dokładnie analizowali wszystkie fragmenty trasy. Do tego stopnia, że знаła prawie każdy kamień. Dobrze wiedziała, jak ma jechać.

Nadszedł czas olimpijskiego wyścigu. Po pierwszym okrążeniu Maja prowadziła grupę pościgową goniącą Szwajcarkę, która szybko wyrwała się do przodu. Wyprzedziły ją podczas trzeciego okrążenia, a Maja była pierwsza, jadąc w trzyosobowej grupie liderów. Po czwartym okrążeniu w walce o złoto liczyły się już tylko ona i młoda Szwedka. Reszta została wyraźnie z tyłu.





Dla zdecydowanej większości sportowców sam udział w zawodach to jedyne olimpijskie osiągnięcie. Ci lepsi mogą jeszcze pochwalić się awansem do półfinału czy finału, ale o medal walczą nieliczni, a jeszcze mniej osób ostatecznie go zdobywa. Na igrzyska w 2016 roku do Rio de Janeiro przyjechało w sumie ponad 11 tysięcy sportowców. Dużo, prawda? A ile było medali? Niecały tysiąc. Dlatego każde miejsce na podium to sukces, a zwycięzcy stają się legendami. Ale czasami już sam udział wystarczy, żeby zapisać się w historii. Tak dzieje się chociażby wtedy, gdy znajdujesz się w gronie zaledwie 15 sportowców, którzy kiedykolwiek wystąpili zarówno na igrzyskach olimpijskich, jak i paraolimpijskich.

Igrzyska paraolimpijskie to zawody, które odbywają się kilka dni po zakończeniu każdej olimpiady. Biorą w nich udział sportowcy z niepełnosprawnością. Tu także jest wiele dyscyplin i są zawodnicy z całego świata, tylko że są to zawodnicy, którzy na przykład jeżdżą na wózkach inwalidzkich, nie mają ręki lub nogi, są osobami niewidomymi albo z niepełnosprawnością intelektualną. Także walczą i rywalizują, ale mają trudniej.

Natalia Partyka urodziła się bez prawego przedramienia, czyli nie ma połowy ręki. To oczywiście oznacza duże ograniczenia, bo pomyślcie, ile rzeczy robimy, używając równocześnie obu dłoni – przenosimy ciężkie pudło, trzymamy kierownicę roweru czy choćby gramy na konsoli. Ale ona od zawsze żyje w ten sposób i radzi sobie w większości sytuacji. Umie na przykład zawiązać sobie buty, co przecież bardzo trudno zrobić jedną ręką.

W tenisie stołowym rakietkę trzyma się jedną ręką, ale drugiej używa się do wyrzucenia piłeczki przy serwie, czyli wtedy, gdy rozpoczyna się zagrywkę. Brak drugiej dłoni jednak nie przeszkadza Natalii w uprawianiu tego sportu. Zaczęła trenować, kiedy miała siedem lat, i początkowo



chciała jedynie pokonać starszą siostrę, która długo była od niej lepsza. Okazało się, że nie tylko przegoniła siostrę, ale i stała się jedną z najlepszych tenisistek stołowych w Polsce.

Miała zaledwie 11 lat, kiedy pojechała na swoją pierwszą paraolimpiadę – do Sydney. Na drugi koniec świata, bez rodziców, a w 2000 roku nie można było jeszcze tak łatwo komunikować się przez telefon czy internet. Była najmłodszą zawodniczką w historii, ale mogła liczyć na wsparcie całej polskiej ekipy. Wszyscy się nią opiekowali. Na tych zawodach zawodnicy są podzieleni w zależności od niepełnosprawności, żeby rywalizacja



niezwykła olimpijka

była sprawiedliwa, więc Natalia grała z zawodniczkami z niepełnosprawnością ręki albo nogi. Cztery lata później w Atenach została najmłodszą mistrzynią ping-ponga. Od tamtego czasu nie przegrała żadnego meczu na turnieju paraolimpijskim.

Do Pekinu w 2008 roku jechała już jako faworytka. W Chinach tenis stołowy jest sportem narodowym, dlatego zainteresowanie turniejem było ogromne, co oznaczało też większą presję. A na dodatek w finale zmierzyła się z Chinką... Ale nie straciła nawet seta i zdobyła kolejne złoto. Oczekiwaniom kibiców sprostała także w Londynie, choć tam było już znacznie trudniej. W finale



walka była niesamowicie wyrównana i Natalia zapewniła sobie zwycięstwo dopiero w decydującym, piątym secie. W Rio de Janeiro musiała mocno namęczyć się w półfinale, ale mecz o złoto wygrała do zera. W sumie nasza zawodniczka ma już w swoim dorobku aż osiem medali paraolimpijskich, ponieważ stawiała również na podium turnieju drużynowego

Serwując, Natalia kładzie piłeczkę na prawym przedramieniu i nim ją wyrzuca. Tylko to odróżnia ją od pełnosprawnych zawodniczek. Wygląda inaczej, bo brak ręki od razu rzuca się w oczy. Może nie ma też najlepszego balansu ciała, ale z sukcesami rywalizuje również z zawodnikami bez niepełnosprawności. Choć początkowo oczywiście słyszała wiele głosów wątpiących, czy jej się uda, i twierdzących, że to nie jest miejsce dla niej. Natalia jednak wierzyła w siebie i jak się okazało, miała rację. Zdobyła wiele medali mistrzostw Polski, drużynowe wicemistrzostwo Europy i może pochwalić się trzema występami na igrzyskach olimpijskich. W 2008 roku po raz pierwszy zagrała na olimpiadzie i paraolimpiadzie, co sprawiło, że jej historią interesowały się media z całego świata. Stała się najbardziej rozpoznawalną tenisistką stołową w Polsce i wzorem do naśladowania. Pokazała, jak przełamywać bariery.



Odważni, wytrwali i... nieprzewidywalni! Poznaj historie legendarnych polskich olimpijczyków.

Nie mieszkają na Olimpie, ale obok nas. Znasz ich twarze z telewizji.
Gdy stają na linii startu, cała Polska wstrzymuje oddech z emocji,
ale oni zachowują olimpijski spokój.

O wyniku mogą zdecydować niewygodne buty, podmuch wiatru
albo... warkocz.

**Czy wiesz, ile labiryntów musieli pokonać,
ile mitów obalić i jak wiele poświęcić,
by stanąć na podium?**

Co takiego zrobił na stadionie skoczek
Władysław Kozakiewicz, że prawie odebrano mu medal?

Dlaczego o pechowym warkoczu **Elżbiety Krzesińskiej** –
upartej lekkoatletki – dyskutowała cała Polska?

Dlaczego bokser **Jerzy Kulej** w decydującym pojedynku...
stał jak wmurowany – i jak pomogło mu to wygrać?

Ile medali w godzinę zdobyła **Otylia Jędrzejczak**?

**Za każdym medalem kryje się inna,
niezwykła historia.**



E-book dostępny na

woblink.com

Cena 44,99 zł

ISBN 978-83-240-5207-3



9 788324 052073 >

znak.com.pl
książki z dobrej strony